

Ks. Bogdan Kończak "Kodan"

### *Miało być pięć pogrzebów*

#### **Nieoczekiwany początek**

Był piękny słoneczny dzień – 1 sierpnia 1944 r. Po obiedzie siedzimy we trójkę przy otwartym oknie. Przed nami widok całego terenu dawnej przedwojennej prochowni. Mieszkamy przy ul. Harcerskiej 6. W napięciu czekamy na godzinę W, godzinę 17.00 – na rozpoczęcie powstania. Niepokój, ale i radość napełniają nasze serca. Nareszcie Ojczyzna będzie wolna. Nagle rozlegają się strzały. Na zegarku godzina 15.00. Co się stało? Od strony ul. Stołecznej pokazuje się grupa chłopców z bronią w ręku. Biegają w kierunku naszego domu. Za nimi widać czołgi. Chłopcy wołają: uciekajcie, za chwilę będą tu Niemcy! Uciekać? Dokąd? Sąsiad decyduje: jeśli tu przyjdą Niemcy, na pewno was, młodych, nie oszczędzą. Chodźcie wy za mną, a starsi do piwnicy. W pokoju u sąsiada stół zostaje odsunięty, zwinięty dywan, uniesiono deski. To schowek, gdzie chowano towar. Wchodzimy do środka. Tu można tylko leżeć. Ciasno. Przykrywają nas deski, dywan i stół. Rodzice są w piwnicy. Nagle straszny huk, wszystko się trzęsie, pełno kurzu. Czołgi oddały strzały w nasze okna. Moje mieszkanie pierwsze w powstaniu legło w gruzach. W schowku zaczyna brakować powietrza. Bijemy nogami w podłogę. Krzyczymy: otwórzcie! Zaczyna ogarniać mnie dziwny spokój i senność. Coraz słabiej oddycham. Tracę przytomność. Opowiadano mi potem, że wciągnięto mnie martwego. Było sztuczne oddychanie, ucisk na klatkę piersiową itp. Rodzice płakali. Żyję! Nie będzie pogrzebu.

#### **Nierozważna Ala**

Po dwóch tygodniach wszyscy opuszczają budynek. Może się do reszty zawalić. Nowe miejsce zamieszkania to piwnice w domach przy ul. Słowackiego. Ja i

koledzy z OPL mamy lokum na ul. Hozjusza. Po kilku dniach odwiedzam rodziców i ciocię. Ta prosi mnie, abym ze zburzonego mieszkania przyniósł ręczniki i bieliznę. Ponieważ nie bardzo znam się na damskich rzeczach, proponuję, żeby poszła ze mną jej córka Ala, która ma 10 lat. Ciocia się zgadza. Prowadzę dziewczynkę przez ogródki działkowe. Omijam wielki wał i dochodzimy pod dom przy ul. Harcerskiej. Wtedy rozpętuje się ogromna strzelanina. To Niemcy, którzy stacjonowali przy ul. Włociańskiej przypuścili atak. Stanęliśmy za jednym z przydrożnych kasztanów, by schronić się przed kulkami. Przycisnąłem dziewczynkę do drzewa i objąłem ją ramionami. Ale dostała szoku – krzyczała i się wyrwała. Strzelanina wzmagala się. Krzyk Ali był nie do zniesienia. Wciąż się wyrwała. Głowy nie można było wychylić, groziło to jej roztrzaskaniem. I stało się. Ala wyrwała mi się z rąk i wbiegła na ulicę pod ostrzałem. Bez zastanowienia pobiegłem za nią. Słyszę gwizdzące kule. Wśród tego ognia dopadamy domu... Jak to możliwe? Żadna kulka nas nie dotknęła ani nie zadrasnęła. Śmierć była pewna. Żyję! Nie będzie pogrzebu!

### **Idziemy na pewną śmierć**

Kilku chłopców z naszego oddziału skierowano do specjalnej akcji. Jesteśmy na pl. Wilsona u zbiegu ulic Mickiewicza i Słowackiego. Stoimy przy sklepie z zegarkami. Szyba wybita. Zegarków nie ma. Kiedyś lubiłem tu przystawać i patrzeć. Pustka. Wchodzimy do jednego z lokali sklepowych. Dowódca przedstawia nam zadanie: „od kilku dni Niemcy nie odzywają się – nie strzelają od strony Marymontu, od ulicy Potockiej. Zostaliśmy wyznaczeni, aby dokonać rozeznania. Cała grupa nie może iść, byłoby to widoczne. Uważam, że wystarczy dwóch, a my tu zaczekamy”. Wyznaczono mnie i Ludwika. Koledzy podchodzą do nas – ściskają i całują. Mówię do Ludwika: „Patrz, jak nas kochają!”. Ten się obrusza, odciąga mnie na bok i szorstko mówi: „Głupcze, czy nie zdajesz sobie sprawy, że idziemy na pewną śmierć? Przecież żywi tu nie wrócimy. Myślisz, że Niemcy czekają na nas z herbatką? Pozwolą obejrzeć okopy i spokojnie odejść?” Rozkaz trzeba wykonać. Idziemy. Ul. Mickiewicza w kierunku ul. Potockiej zaczyna opadać w dół. Po prawej stronie stoją bloki mieszkalne, po lewej stronie przestrzeń wolna. Gotowa do zabudowy. A więc z krzaczka pod krzaczek, z dołka do dołka posuwamy się naprzód lewą stroną. Dochodzimy pomału do ul. Marii

Kazimiery. Nikt się nie rusza. Niemcy opuścili to stanowisko, nie ma nikogo. Gdy weszliśmy do jednego z okopów, usłyszeliśmy „szafę” – tak nazywano pociski, które przy wystrzale wydawały głos przesuwanej szafy. Budynek, w którym zostali chłopcy, wyleciał w górę. Oni zginęli, my żyjemy. A miało być inaczej. Minął mnie trzeci pogrzeb.

### **Zbawienne wiaderka**

I znowu praca fizyczna. Trochę to ponad moje siły. Nanosić wody dla mieszkańców ul. Hozjusza. No cóż, wiaderka do ręki i marsz. Było już dobrze po południu, kiedy Niemcy według swego zwyczaju zaczęli ostrzał ulic wkoło kościoła św. Stanisława Kostki. Tym razem skoncentrowali się na kościele. Właśnie znalazłem się na ulicy prowadzącej do niego. Ostrzał terenu był tak wielki, że rozsądek kazał się schować. Stawiam więc wiadra z wodą na chodniku, by schronić się w pobliskiej willi. To pochylenie się, aby postawić wiadra było zbawienne. Tuż nad moją głową przeleciał pocisk armatni. Pół metra? Impet był tak wielki, że pchnął mnie do przodu, jednak nie upadłem. Pocisk uderzył w ulicę. Wyrwał kamienie, ziemię i rzucił na przeciwległy chodnik. Kurz i piasek na chwilę przysłoniły mi oczy. Po chwili zobaczyłem przed sobą głęboki lej po pocisku, a pocisk leżał na dnie jak grzeczny baranek. Nie wybuchł. To był niewypał. Gdyby eksplodował, wokoło leżałyby części mego ciała. I znowu minął mnie pogrzeb. Niedaleko palił się kościół św. Stanisława Kostki. Z dwoma wiaderkami wody podążałem, aby gasić pożar. Dwa wiaderka wody na rozszały żywioł? Spłonął tylko dach. Reszta kościoła ocalała. Kiedy z kolegą wynosiłem obraz Matki Bożej Częstochowskiej, ks. prałat Stefan Ugniewski ukląkł i płacząc całował święty wizerunek.

### **Żywa tarcza**

1 października 1944 r. Niemcy przypuścili ogromny atak ze wszystkich stron na Żoliborz. Wkoło tylko wybuchy i pożary. Tak było od rana 2 października. Powstanie chyli się ku upadkowi. Wychodzimy z piwnic. Plac przed kościołem się wypełnia. Wśród nas jest dwóch żołnierzy radzieckich zrzuconych niedawno przez

samolot. Telegrafisci. Ściągamy z nich wojskowe ubranie. Teraz są podobni do nas. Ich armia stała po drugiej stronie Wisły i patrzyła, jak Warszawa kona. Z placu przykościelnego tłumy ludzi przechodzą na aleję Wojska Polskiego. Po drodze ból i łzy, gdy oglądamy ciała kolegów i koleżanek z biało-czerwonymi opaskami na ręku. Nie doczekali wolnej Ojczyzny, za którą oddali życie.

W alei Wojska Polskiego ktoś mnie chwycił za ramię. To żołnierz niemiecki. Ciągnie mnie za sobą. Za chwilę znalazłem się w grupie powstańców. Było nas 10. Po co tu jesteśmy? Zaraz sprawa się wyjaśnia. Nadjeżdżają czołgi. Ustawiają nas w szeregu w poprzek ulicy. Mamy być żywą tarczą przed czołgami. Na Dolnym Żoliborzu nasi jeszcze walczą. Ruszamy w kierunku pl. Inwalidów. Idziemy skazani na śmierć. Chodnikiem idą warszawiaczy, którzy opuścili piwnice. Rozumieją naszą sytuację. Wielu się żegna. Wielu nas błogosławi. Zbliżamy się do placu. Zatrzymujemy się. Przed nami przeszkoda. Głęboki rów przeciwczołgowy. Szeroki i głęboki – czołg nie przejedzie. Brzęk bagażników czołgowych – i w rękę mamy już łopaty. Patrzymy, a w okopie leży kobieta w białym płaszczu. Na skroniach ma krew. Prosimy o jej przesunięcie, reakcja – pistolet w rękę żołnierza i krzyk: kopać. Nikt z nas nie potrafi sypać piasku na człowieka, który może żyje. Rzucamy się więc na boki. Nie wiem, co się później stanie. Przychodzi wybawienie. Po jednej i drugiej stronie ulicy palą się domy. Samoloty zawracają i siekają z broni maszynowej. Niemcy uciekają do pobliskich piwnic – my za nimi. Naloty się powtarzają, a Niemcy nie próżnują – rozwalają skrzynie, paczki, ścianki – szukają „złota i srebra”... Jednak żyję. Nie będzie pogrzebu.

## **Wolność**

Opuszczamy Warszawę. Na Woli przy ulicy stoi kobieta i na stołku ma wiadro z wodą i kubki. Podchodzimy z kolegą, aby ugasić pragnienie. Od dwóch dni nic nie jedliśmy. „Proszę pani, dokąd nas prowadzą?”. „Panowie, uciekajcie. Prowadzą do obozu, wywożą do Niemiec”. We Włochach jest okazja. Ktoś zemdłał. Żołnierze eskortujący nieco się oddalają. Biegniemy przez kartoflisko do pobliskiego lasu. Za nami strzały. Kluczmy. Wreszcie las i wolność... Chyba uniknąłem 6 pogrzebu...